

# Maciej Żytowiecki

## Wadliwy zbawiciel

### 1. Mój dom

Siedzę w wygodnym skórzanym fotelu – naprzeciw stół, za nim telewizor. Ekran jest pokryty kurzem.

Na blacie i na podłodze tysiące rozrzuconych zdjęć. Jest ich tak dużo, że tworzą drugi dywan, leżąc na tym prawdziwym. Godzinami przetrząsałem albumy, bezskutecznie poszukując zdjęcia dziewczyny.

Koralina. Słowo, które brzmi jak melodia. Z mojego gardła wydobywa się jęk, właściwie skowyt jak u katowanego psa.

Brudny kineskop ukazuje wnętrze pokoju, w którym zawsze lubiłem przebywać. Siadywałem w tym właśnie miejscu i oglądałem telewizję. Na zewnątrz wirował czarny śnieg, przed którym ludzie umykali w panice, podczas gdy panie dziennikarki spokojnie powtarzały, że to tylko opada popiół.

Wstaję i, przecinając kobierzec fotografii paskudną blizną, kuśtykam na balkon. Otwieram drzwi i wiatr wita

mnie potępieńczym jękiem.

Łapię dłońmi barierkę, tak mocno, że kości palców stękają, jakby miały pęknąć. Widzę zwiędłe kwiaty w donicach... chyba kiedyś je podlewałem, teraz zapomniałem. Nie jestem pewien. Moje dłonie wędrują, niczym blade pająki szukające ofiary. Nurzają się w ziemi. Z pulchnej gleby wyrzucają korzenie, podważają małe drzewka, a te padają jak po kataklizmie. Ziemia jest zimna i nie ma żadnej różnicy pomiędzy moim ciałem a nią.

Marszczę brwi. Nie widzę tak dobrze jak niegdyś. Gdzieś pode mną rozlewa się pejzaż szarego blokowiska, gdzieś przede mną sterczy kilka budynków, identycznych jak ten, w którym mieszkałem. Wybite szyby, w środku ciemność. Na dole zepsuta, popekana jak twarz księżycy droga, z robakami trawiącymi jej dawną gładkość.

Nie, to nie są robaki.

Ręce mam cały czas zanurzone w glebie i nie chcę ich wyjmować, jednak wychyliam się poza barierkę, aż ściegna krzyczą ostrzegawczo i wreszcie widzę, że to idą tacy jak ja. Wloką się w parodii marszu, w upiornym pochodzie i każdy niesie żółty pakunek przewiązany na krzyż sznurkiem. Niektórzy nie mogą chodzić, więc czołgają się trzymając mniejsze paczki w zębach. Powolna procesja w końcu dotrze do celu, bo poczta musi być dostarczona.

Wstaję i wyciągam dłonie z ziemi. Pomiedzy palcami jak wąż prześlizguje się czerwony stwór zbudowany z

cieniutkich pierścieni.

Witaj, mały przyjacielu.

## 2. Moje osiedle

Koralina w mojej głowie. Jest jej tam dużo i nie wiem, jak mogło się tyle zmieścić. Skąd jej eleganckie gesty, skąd kuszące spojrzenie i napięte spodnie na pośladkach. Szpara pomiędzy zębami i cienkie usta, zagryzione, jakby zgłodniała.

Jest jej tam dużo, bardzo dużo, brak miejsca dla reszty martwych ludzi ze zdjęć.

Wychodzę na dwór. Mijam trawnik, kolejne grządki i widzę ogrodnika. Niezgrabnie przesuwa grabiami po trawie, choć w miejscu, gdzie stoi, prawie już jej zabrakło. Stoi na malutkiej wysepce ziemi pośrodku morza wyblakłej zieleni. Połamane kości ud sterczą na boki, przebijając skórę. Nigdzie nie pójdzie, ale wciąż próbuje wypełnić powierzone mu zadanie. Spoglądam na niego, a on podnosi głowę – jego jedyne oko jest blade i prawie wypada z oczodołu. Chce chyba coś powiedzieć, ale słyszę tylko świst powietrza, nic więcej.

Idę dalej. Pogruchotana noga spowalnia mój marsz, stopa zahacza o nierówny bruk i każdy kamień, a ja chwiję się, jakbym tańczył. Pamiętam tańce. Muzyka zawsze dopasowywała się do każdego ruchu Koraliny.

Jak na zawołanie z jednego z okien sączy się

melodia... Dla mnie melodie nie mają już sensu – brzęczą niezrozumiale, irytują. Słyszę inaczej: nie całość, lecz każdy dźwięk z osobna i zaczynam się bać, że moje myśli pękną, spłyną po ścianach czaszki, wyciekną uszami i nosem. I stanę.

Nie mogę stanąć.

Wiem, że muszę się skoncentrować, bo gdzieś tam jest Koralina. Gdzieś na drugim osiedlu, zbyt daleko, bym mógł do niej dotrzeć o własnych siłach.

Skrećam z drogi, ruszam przez boisko szkolne, rozumiejąc nagle, co powinienem robić dalej. Kiedy przechodzę przez ulicę, jakiś samochód hamuje z piskiem, zostawiając śmierdzące czarne ślady palonej gumy. Uderza mnie w udo, coś zgrzyta, coś pęka we mnie w środku, ale nie zatrzymuję się. Idę dalej, bo nic nie może mnie powstrzymać.

Z auta wybiega człowiek, przygląda się masce pojazdu i krzyczy.

### **3. Nasz autobus**

Przykładam dłonie do pleksiglasu. Moje paznokcie przypominają zęby, są grube, twarde i żółte. Pierścienica wysuwa się z rękawa i wraz ze mną śledzi rozkład jazdy. Dobrze, że postanowiła zostać.

Jej główka podąża za moim palcem, zawsze jest tam, gdzie wskazuję. Razem śledzimy cyfry. Rozpoznaję je

bez trudu, chociaż nie pamiętam, co oznaczają. Cyfry to ilość. Mogą określić, ile mam palców... dlaczego więc są tutaj? Na liście są też zbitki liter, czyli słowa. A ja, chociaż mogę odczytać każdą pojedynczą literę, nie jestem w stanie ich zebrać w jeden dźwięk.

Pierścienica stuka ostrą główką w czarny zawijas, myśli chyba, że spotkała koleżankę, która pożera własny ogon. Stuka i puka, ale pleksi jest nieubłagane.

I wtedy nadjeżdża autobus. Jest duży i czerwony, z czarnymi tablicami na szybach i świecącymi zielono numerami na nich, podzielony na dwie części połączone ciemną, gumową harmonijką. Właśnie takim do niej jeździłem.

Drzwi rozsuwają się z sykiem, a ja łapię poręcz i wspinam się po wysokich schodach. Wewnątrz jest pusto, miejsca siedzące wolne. Kiedyś je zajmowałem, ale dzisiaj nie potrzebuję. Nogi już nigdy nie będą boleć.

Pojazd rusza, a jego gumowana podłoga drga. Podnosi się, to znów opada jak fale błota.

Autobus jest przedzielony aluminiową siatką tak w połowie długości, druty krzyżują się po skosie jak wzór na kuchennym obrusie w moim domu. Widzę przez nie takich jak ja, stłoczonych, zgniatających się nawzajem w tylnej części. Brak tam krzeseł, bo ich również nie bolą nogi. Patrzą gdzieś w dal, w stronę czegoś oddalonego, czegoś dla mnie niewidocznego. Z pozoru jesteśmy tacy sami, jednak chyba coś nas różni.

– Pogubiłeś się, ścierwo? – Lecę do przodu, żeby

rozsmarować się na szybie jak owad, który miał nieszczęście wpaść na pędzące auto.

Odwracam się powoli, coś cieknie z moich ust. Ślina.

– Przysięgam, że robią się coraz głupsi. – Obaj mężczyźni są biali, mają blond włosy i wyglądają bardzo podobnie. Ubrani w beżowe kombinezony, noszą opaski z czerwonym krzyżem na białym tle. Czyściciele. – Nie obchodzi mnie, co gadają urzędasy, Defizytan gównu daje i sam to wiesz. Gniją im mózgi, zapominają nawet najprostszych poleceń, rozłazą się jak karaluchy po mieście. Popatrz na tego tu. Jak się nazywasz, ścierwo?

Szarpie za koszulę. Guziki fruną jak komety. Przygląda się wypalonej na mojej piersi liczbie.

– Siedemset...trzyście – odczytuje.

– Czekał – odzywa się drugi. Łapie blaszkę, której z początku nie zauważyli, bo zaplątała się w poły koszuli. – To fabryczny, pewnie zlaźł z taśmy... Chociaż nie wiem... Sprawdź numerację w kajecie.

Wyciągają zeszytek w białej okładce z czerwonym krzyżem pośrodku i szybko przerzucają kartki. Drapią się po głowie jeden z drugim, jak lustrzane odbicia.

– Lata mi to, wiesz? – mówi któryś po niechlujnym przestudiowaniu podręcznika. – A może nam coś powiesz, co?

Szturcza mnie mocno, aż uderzam plecami w szybę. Ta drży niebezpiecznie, zaś mężczyźni rechoczą.

– Verigold – wymawiam z trudem.

Patrzę na siebie odrobinę zdziwieni, najwyraźniej nie

spodziewali się, że jeszcze potrafię. Ja również jestem zaskoczony, bo chyba pierwszy raz od wypadku słyszę własny głos. Inaczej go zapamiętałem. Brzmie jak ktoś inny, jakbym zamieszkał w cudzym ciele.

– Verigold? Dlaczego to powiedział?

– Nie wiem, ale chyba powinniśmy go zatrzymać. Może jest wart więcej niż na to wygląda?

– Masz rację – wzdycha ten z książeczką. – Wypuścimy go i jeszcze będziemy mieć kłopoty.

– Słuchaj, ścierwo. – To do mnie się zwracają. – Masz stać w tym miejscu i czekać, aż po ciebie przyjdziemy, rozumiesz?

Kiwam głową. Z mojego gardła wydobywa się jęk. Uśmiechają się zadowoleni, jeden nawet klepie mnie po ramieniu, po czym odchodzą do przodu przedziału. Widzę, że siadają przed monitorem. Oglądają wiadomości, kiwają głowami i przeklinają pod nosem.

Elegancka kobieta, z krawatem i liczbą „24” w rogu ekranu, opowiada o czymś z przejęciem. Obraz drga raz za razem, pojedyncze szare nitki prują utkany malunek. Za jej plecami przewijają się sceny konania i pożogi. Słyszę słowa: „śmierć”, „zaraza”, „eskalacja”... ale właśnie widzę znajomy przystanek, więc gdy drzwi ustępują z sykiem, wysiadam. Czyściciele biegną w moją stronę, jest jednak za późno.

Patrzę jak odjeżdżają z przyklejonymi do szyby, wykrzywionymi złością twarzami.

## 4. Jej osiedle

Jest ładnie. Dużo drzew. Wiele z nich przypomina chrust wetknięty byle jak w ziemię, ale na gałęziach niektórych powiewają rzadkie listki, urozmaicając żywą zielenią martwy krajobraz. Ulice są czyste, szosy biją w oczy czernią, a zawartość żółtych koszy na śmieci nie wysypuje się na chodnik. Szyby nie są powybijane. Odbijają kulistymi refleksami rzadkie promienie słoneczne, które przebiły włochatą, brudną watę skotłowaną na niebie.

Wspinam się na górę. Powłócząc pogruchotaną nogą zaczepiam o wystające fragmenty zniszczonych chodników – utrzymuję równowagę dzięki determinacji, pewności, że muszę przeć naprzód.

Wokół znajome widoki. Parking, gdzie nigdy nie umiałem znaleźć wolnego miejsca, teraz prawie pusty, jak gdyby wszyscy wyjechali. Obok sklep z namalowaną biedronką na witrynie. Zamknięty. Ciężkie kłódki zatrzaśnięte na grubych łańcuchach, jak gdyby właściciele chcieli tutaj powrócić. Z wnętrza dochodzi zapach zgnilizny.

Skrećam z drogi, przekraczam wyleniały trawnik. Żółte, zielone i czarne barwy mieszają się na nim jak na nieudolnie rozprawdanej palecie. Podnoszę głowę i widzę szczyt wzniesienia z rozrzuconymi niby przypadkiem, ciężkimi kłocami wieżowców. I wiem,



który jest jej. Koraliny.

Nie męczę się tym razem. Niegdyś z trudem wchodziłem na górę, ale teraz... Wysięk przestał istnieć. Mój świat jest całkiem inny, pętają go zupełnie nowe ograniczenia.

Docieram do drzwi, palce same zakleszczają się na gałce, szukam na domofonie wypalonej w moim umyśle liczby. Jest tam, gdzie zawsze, a jednak waham się, zastygam milimetr przed guzikiem, cofam się lekliwie i odchodzę gdzieś w cień. Staję pod sosną o gałęziach ciężkich od igieł.

Czekam. Nie wiem, na co, ale czekam. Mam dużo czasu, nigdzie mi się nie spieszy, nie mam niczego do zrobienia. Mógłbym stać jak to drzewo, które udzieliło mi ochrony. Oboje cierpliwi, niemartwi w prawie zupełnie zamordowanym świecie, wciąż tutaj jesteśmy.

Nie wiem, dlaczego nie wszedłem do środka. Nie znam odpowiedzi. Nie boję się, ja już nie mam prawa się bać. Spojrzałem śmierci w oczy, skąpałem w jej czarnym oceanie, wychodząc suchy.

Nie boję się bólu, bo ten nie istnieje. Mam czas i mogę trwać, nie boję się końca. Już go widziałem.

Stoję. Czekam.

Są i ludzie. Co jakiś czas mijają mnie, nie zaszczycając spojrzeniem, jakbym był niewidzialny. Kolejny zepsuty egzemplarz. Jego przegniły mózg zapomniał polecenia, zatracił się w postępującym rozkładzie, więc teraz zguba tkwi tutaj, oczekując właściciela. Będzie czekać, póki jej

nie zabiorą.

Starsza pani wygląda jak bałwan w ciepłym, grubym płaszczu. Może mieć osiemdziesiąt lat, może mieć sto, a nadal porusza się żwawym krokiem, niosąc lniane torby wypełnione zakupami. Konserwy terkoczą przy każdym ruchu. Ona żyje, ja nie, a nie mam przecież nawet dwudziestki.

Później dwóch kolejnych. Na ich uszach zakłęśnięta muzyka, rytmiczne basy niosą ich jak olbrzymów, poruszając ziemię i mnie wraz z nią. Ale ja nie rozumiem już muzyki, to tylko zbitki bezładnych dźwięków.

Wkrótce ktoś powleka niebo czarną tkaniną i zalega mrok. Niewielka wygrana bitwa, nim lampy nie zapłoną bladym, nieostrym światłem. Ten blask przypomina mgłę, rozlewa się jak mleko po czarnym obrusie.

Nadeszła noc, nadeszła Koralina.

Lekkie, sportowe auto zajeżdża pod dom. Na opustoszałym parkingu wykręca trzy razy, piszcząc szerokimi oponami. Dopiero kiedy nastawia się przodem do wyjazdu, drzwi kierowcy i pasażera unoszą się.

Jej wygięta wysokim obcasem stopa jest tym, co widzę najpierw. Błada jak prześcieradło w kontraście z czarnym butem. Później cała reszta: pełne piersi, burza włosów i jasna buzia. Zacięte, czerwone usta prawie się nie poruszają, gdy mówi coś towarzyszącemu jej mężczyźnie. Ten jest duży, silny, nieważny. Odprowadza dziewczynę pod klatkę, całuje na pożegnanie i odchodzi.

Wkrótce jedynym, co po nim pozostaje, są czerwone

światła sportowego auta znikające za zakrętem.

Nie jestem zazdrosny, zazdrość nie ma żadnego znaczenia. Koralina jest przecież moja, tylko moja. Ten śmieszny facet nie jest ważny. To brud, wystarczy przetrzeć dłonią i nie ma śladu.

Koralina. Chociaż weszła już do środka, nadal widzę ją wyraźnie w mojej głowie.

Czuję coś dziwnego.

Dziwne jest, że coś czuję.

Ciężka, sucha gula zatrzymuje się w moim gardle, ściska je, by przedrzeć się niżej, do żołądka. Przygnieciony ciężarem, pochylam się. Upadam na kolana. Upadam na twarz.

\* \* \*

Znowu samochód. Znacznie mniejszy, wolniejszy i brzydszy od tego, który przed chwilą widziałem. Ja siedzę za kierownicą.

Zjeżdżamy z górki, daję na luz, pamiętając o oszczędzaniu paliwa. Samochód toczy się cichutko, a ja zawijam kierownicą, wciskając go w zakręty pełznące ze wzgórza drogi. Opony nie piszczą, jest spokojna, cicha noc, pozbawiona jakichkolwiek hałasów.

Co chwila zerkam na nią. Jej doskonały, blady profil przecina ciemność panującą w kabinie. Jest zamyślona, skoncentrowana na drodze. Moja muza, przepojona nieziemską gracją, kiedy poprawia opadające na czoło włosy. Chcę patrzeć na szosę, ale coś zmusza mnie, bym patrzył na nią. I tak zerkam, to w jedną, to w drugą

stronę...

Nagle widzę zdziwioną twarz staruszka i szarpiącą go za ramię babunię, która wskazuje palcem w naszą stronę. Patrzą z przerażeniem, a ich wóz wtacza się ślimaczo z pobocza na jezdnię. Coś ściska mnie w środku. Szarpię z całej siły kierownicą w stronę Koraliny. Jej przerażone spojrzenie spotyka się z moim. Koła tracą przyczepność.

To tak, jakbym sam się potknął, jakbym nagle stracił równowagę. Słyszę krótki pisk i odrywamy się od podłoża. Pamiętam przerażone twarze starych ludzi, kiedy karoseria naszego frunącego samochodu mija ich o centymetry. Lot jest krótki. Zaraz uderzamy o ziemię. Wokół strzelają iskry. Pamiętam jeszcze trzask pękającej kości udowej przebijający się przez kanonadę zgrzytającego metalu, później jest ciemno. I cicho.

\* \* \*

Mrugam. Wstaję z kolan i powłócząc złamaną nogą idę w stronę drzwi, myśląc, że nie zatrzyma mnie już nic.

– Zatrzymaj się, Robercie. – Jednak ktoś próbuje.

Nie zwracam uwagi na znajomy głos, lecz wciąż prę naprzód i nie odwracam się. Czyż nie odwrócił się Orfeusz? Ja nie chcę być kolejnym, nowym Orfeuszem.

Ciężkie dłonie w rękawicach lądują na moich ramionach, ciągną w tył, aż prawie tracę równowagę. Szarpię i dwóch mężczyzn z autobusu – tych dwóch w pastelowych kubrakach z obwiązanymi wokół ramion białymi szarfami ze znakiem krzyża – z trudem mnie utrzymuje. Ich nogi ślizgają się po ziemi, wzniecając

obłoczki kurzu. Słabną, podczas gdy ja się nie męczę. Podnoszę dłoń do przycisku domofonu... i zamieram.

Przede mną pojawia się niewysoki człowieczek o zwichrzonych włosach, w białym kitlu naukowca z wetkniętymi w kieszonkę na piersi różnokolorowymi strzykawkami. Wyciąga gliniany amulet uwieńczony kurzym piórem i wypowiada znajome słowa.

Znam ten głos. Przestaję się opierać.

## 5. Mój ojciec

Siedzę zgarbiony na metalowej ławie. Dach jest zbyt nisko, żebym mógł się wyprostować. Żółte i czerwone przewody zaczynają się w podręcznej maszynie, a kończą w mojej czaszce. Gdzieś zniknął strzep ubrania, który służył mi za koszulę. Przezroczystym węzem wetkniętym w pierś płynie świetlisty fluid, pompa maszyny pulsuje leniwie.

Moje oczy szukają starca, niemal go omijają, skrytego w cieniu, opartego o laskę. Przypatrującego mi się z zaciekawieniem. Wiem, że jesteśmy we wnętrzu niewielkiego busa i że jesteśmy sami.

– Niełatwo było cię znaleźć – odzywa się znajomym głosem.

Przytakuję. Nie wiem, co mógłbym odpowiedzieć.

– Jesteś moim najdoskonalszym dziełem, wiesz? – Patrzy skupionym wzrokiem, szukając śladów rozkładu

znaczących moją twarz i uśmiecha się, uśmiecha jak dumny rodzic widzący dziecko stawiające pierwszy krok. – Jesteś naszym zbawieniem.

Sięga do kieszeni i wyjmuję pęk medalionów. Niektóre przypominają skomplikowane figury geometryczne, inne to owale różnej wielkości, wśród nich jest i ten, który widziałem wcześniej. Grzebie w nich przez chwilę, w ciszy rozlega się stukot stwardniałej gliny, brzęk metalu i kluczy. Wreszcie znajduje wisior, którego szukał. Miedziany, z wyrytymi symbolami oraz cyfrowym zegarem pośrodku. Trzy czerwone cyfry to przekreślone prostokąty, zera. Manipuluje chwilę przy niewielkich guziczkach i liczby rozpoczynają wyścig, galopują aż zatracają kształt, stając się rozmytymi plamami. A później, równie nagle, zatrzymują się. Siedemset trzynaście – to moja liczba.

Mój umysł pędzi, zerwał się do biegu przyspieszając pełznące myśli do przerażającego tempa.

Wypełniają mnie wspomnienia.

## **6. Moje drugie narodziny**

Otoczenie nie zmienia się znacząco. Sufit jest wyżej, jest więcej miejsca, ale wokół te same maszyny. Gdzieś w oddali widzę kilka rzędów metalowych stołów przykrytych płótnem. Domyślam się, co skrywają. Moja

nakrycie leży pogniecione na podłodze.

Potargany człowieczek biega wokół jak w gorączce. Jego głowa ledwie sięga ponad blat stołu, ale mimo tej jego niepozorności wyczuwam, że w tym miejscu jest panem życia i śmierci. Zmierzwione włosy sterczą na boki, drgają przy każdym ruchu jak żywe.

– Drogi Robercie – mówi. – Jesteś moim najdoskonalszym dziełem, wiesz?

– Panie Doktorze, czy nowa partia będzie gotowa zgodnie z planem? – pyta ktoś.

To szary mężczyzna w szarym garniturze z zawiązaną wokół szyi ciemną pętlą krawata. Dopiero go zauważam. Cały czas stał w pobliżu, jednak równie dobrze mogłoby go wcale nie być. Człowiek, który nie istnieje. Człowiek, który nigdy nic nie znaczył. Wysłany gdzieś, wysłany, aby przekazać wiadomość, będzie stał cichutko, niewidoczny, czekając nieskończenie długo, aż chwila będzie odpowiednia, by zapytać niepewnym głosem i zaraz skulić się, jakby w oczekiwaniu na cios.

– Jutro. Jutro. – Niecierpliwie machnięcie dłonią Doktora i urzędas zmyka tak prędko, że wkrótce nie jestem już pewien, czy istniał naprawdę.

Naukowiec wyciąga gruby notatnik. Kartki wyrywają się na wolność, szwy ledwie trzymają. Ślini kciuk, łapie różową zakładkę i otwiera na zaznaczonym miejscu. Poprawia okulary i czyta.

Słowa. Słowa. Słowa. Każde coś zmienia, coś dodaje lub odbiera. Nagle widzę wszystko wyraźnie, słyszę

lepiej, a w moich nozdrzach wirują zapachy, których dotąd nie znałem. Jestem budowłą z klocków, zburzoną i skleconą na nowo przez kogoś o odmiennej wizji niż oryginalny twórca. Jestem pierwszym obrazem świeżego, niezrozumiałego nurtu... a może niezrozumianego, bo wyprzedzającego epokę? To wie tylko ten szalony artysta z ustami ubrudzonymi magią. On wskazuje drogę, którą podążam.

Doktor czyta, wściekłymi gestami kreśli znaki. Z palców trzaskają iskry, jakby wszechświat próbował zatrzymać jego rękę przed wyrysowaniem każdego kolejnego symbolu. Głos wznosi się i opada, prąd przebiega przez moje członki. Wraca agonია, ból zgruchotanej nogi, wspomnienia zmartwiałej twarzy dziewczyny... i nie mogę zdzierżyć więcej. Koniec, nie mogę.

Wrzeszczę. Doktor milknie.

Myślę, że znów mógłbym się poruszyć, jednak pozostaję na miejscu, bo wiem, że jestem mu winien posłuszeństwo. Mały człowieczek o zwichrzonych włosach i rozbieganym spojrzeniu jest przecież panem i władcą laboratorium.

Doktor wyciąga ciężki stempel podłączony do niewielkiego urządzenia. Manipuluje przy nim, ustawia numer na pieczęci, naciska guziczki i przyrząd zaczyna się żarzyć ognistym blaskiem. Siedemset-trzyście. Siódemka i trzynastka, szczęśliwa liczba w towarzystwie pechowej, dobro i zło. Przyciska ją i unosi się swąd



palonego ciała. Moje nowe imię, jak chrzest.

– Robercie. – Doktor jednak zwraca się do mnie starym, nieaktualnym, przeznaczonym dla człowieka imieniem. – Pokładam w tobie wielkie nadzieje.

Odchodzi gdzieś. Zamykam oczy. Echo niezgrabnych kroków uzupełnione uderzeniami laski roznosi się po pomieszczeniu. Odbija się, zniekształca – słyszę to wszystko, jakbym przyłożył do uszu morskie muszle. Dźwięki puchną, odbijają się i jest ich coraz więcej, kiedy się oddala. A kiedy powraca, marnieją, skupiają się na powrót w jednym miejscu, przy moim prawym ramieniu.

Spoglądam w tę stronę. Przyciągnął niewielką szafkę ozdobioną rzędami żółtych klawiszy, uwieńczoną długą przezroczystą rurą. Wkłada palce do moich ust – trzask pokonanych bezwzględna siłą szczęk – i gruby przewód ląduje w gardle. Doktor majstruje przy urządzeniu poszeptując niezrozumiale, urywając zdania wpół. Stuka w klawisze, rozlega się trzask, a później bulgotanie. Oleista maź wpływa do moich trzewi.

Pomarszczona twarz doktora przepełniona jest troską. Znajduje się tak blisko, że mogłoby się wydać, iż chce mnie po ojcowsku ucałować.

– Miał na imię Robert i uważam, że pomimo obowiązującej numeracji, stosowniej będzie nazywać go w ten sposób – szepcze do niewielkiego aparatu przypominającego długopis. – Nareszcie... – Głos łamie mu się jak sucha gałąź, kaszle.

Zgrzytanie metalu o terakotę. Naukowiec przysuwa

ciężkie krzesło, siada i ociera wilgotne usta. Chwilę przygląda się rurze wetkniętej w moje gardło, po czym na nowo zaczyna mówić.

– Czwarta godzina od przywołania: Robert przyjmuje Defizytan. Brak drgawek, konwulsji. Reakcje prawidłowe. Jestem o krok od przełomu...

Automat nagrywający piszczy, doktor wciska pauzę. Widocznie nie chce nagrywać kaszlu. Kontynuuje, kiedy atak przechodzi.

– Nie wiem, jak wiele czasu nam pozostało... Zaraza postępuje.

Urządzenie przestaje pompować płyn, naukowiec przerywa na moment wykład, nastaje kompletna cisza. Jest tak cicho, że głowa pęka.

Obca ciecz pulsuje w moim wnętrzu. Staję się silniejszy, każda upływająca minuta dodaje nowej energii.

– Robercie, jesteś pionierem. Zaczątkiem kolejnego etapu ewolucji ludzkiej rasy.

Doktor śmieje się z własnych słów. Krótką chwilę, bo zaraz słycać trzask gumowych rękawiczek; drżącymi palcami unosi moje powieki wyżej, aż laboratoryjne światło wbija się igielkami w źrenice. Widzę głębokie bruzdy na jego twarzy, kiedy przybliża się do oczu. Młaska zadowolony i zostawia mnie, a potem podejmuje przerwany wątek.

– Siedemset-trzynasty eksperyment okazał się sukcesem... – zaczyna, a potem kaszle kolejny raz. Zmęczony wzdycha i chowa magnetofon do kieszeni. –

Drogi Robercie, nie jesteś jak inni. Jesteś wyjątkowy. Jesteś pomostem pomiędzy nami a naszymi ukochanymi zmarłymi.

Uśmiecha się.

– Wkrótce zniknęlibyśmy, gdyby nie ty. Czy wiesz, że od ponad dwóch lat nie narodziło się żadne dziecko?

Powstaje ciężko z krzesła, jego ciałem targają konwulsje. Atak kaszlu jest brutalniejszy niż wcześniej, rzuca Doktorem jak lalką, a kiedy wreszcie przechodzi, mężczyzna wydaje się być starszy. Łapczywie połyka powietrze, przygnieciony niewidzialnym ciężarem. Prostuje się z trudem. Jego zmarszczki są jeszcze wyraźniejsze.

– Ratunkiem jest wieczne życie.

Niezdarnie sięga do kieszeni, dłoń trafia do wnętrza dopiero przy którejś z kolei próbie, i wyciąga ciężką strzykawkę ze szkła. Łapie w palce moją górną wargę, po czym zatapia długą igłę w odsłoniętym dziąśle. Kiedy mężczyzna odciąga powoli tłok, rozlega się syk jakby pękła purchawka. Doktor ogląda pod światło zawartość pojemnika. Płyn jest szary, mętny.

Człowieczek odchodzi, a ja pozostaję sam. W mojej głowie pojawiają się obrazy. Zbyt prędko, zbyt niewyraźnie, bym mógł coś z nich zrozumieć. Kartkowany pospiesznie album z fotografiami, które w tej chwili jeszcze nic dla mnie nie oznaczają. Jestem nowonarodzonym uczącym się wszystkiego od początku.

– Zbyt niskie stężenie enzymu. Potrzeba przynajmniej

dziesięciu dni. – Po pewnym czasie znów słyhać jego głos. Mówi do magnetofonu. Zbliża się wraz z coraz głośniejszym stukotem laski.

Urządzenie pika cichutko, koniec notatek. Tym razem staruszek zwraca się bezpośrednio do mnie.

– Myślę, że każde czasy w końcu potrzebują zbawiciela. Jakie czasy, taki zbawca, nie sądzisz? Jesteś uszyty na miarę naszego upadku – przemawia ze smutkiem. – Tylko dzięki temu, co w sobie nosisz, ludzkość przetrwa... Chociaż zmieniona, przetrwa. Ale nie, oni nie rozumieją. Jest za wcześnie, a oni są zbyt zadufani. Myślą, że potrafią utrzymać chaos pod kontrolą. Nie umieją patrzeć naprzód, w przyszłość... – Wyrzuca wściekle zdania, kipiąc złością. Wreszcie nie może złapać oddechu i dopiero to go uspokaja. – Posłuchaj mnie, Robercie. Nikt nie może dowiedzieć się, że jesteś inny od reszty. Dopiero, kiedy mój eksperyment okaże się pełnym sukcesem, dopiero wtedy im ciebie przedstawię.

Drżącą dłonią głaszcze mnie po głowie. Mętna płwocina ucieka kącikiem jego ust.

– Musisz przez dziesięć dni pracować z resztą nieumarłych pracowników. Później powrócisz tutaj. Nikt nie będzie cię zatrzymywał. Wrócisz, a ja dokończę dzieła.

Dla niepoznaki wiesz mi na szyi firmową blaszkę.

Wkrótce po wyjściu Doktora przychodzi mężczyzna, trzyma długą listę i osłania się nią jak tarczą. Odznacza coś długopisem i nakazuje bym udał się za nim.

Na korytarzu czekają już pozostali. Nieumarli, jak ich nazwał. Stoją w bezruchu. Są jak meble.

Na pierwszy rzut oka jesteśmy tacy sami, a jednak wiem, że nie do końca.

## 7. Mój cel

– Coś na kształt wolnej woli... efektem ubocznym? – kolejny raz słyszę głos Doktora. Znów siedzę w aucie. Wizja ucięła się jak urwana klisza filmu. – Zabawne.

Chichocze. Nie pamięta, że nie powinien. Kolejny atak kaszlu karci go za ten nagły wybuch wesołości i nastaje cisza. Cisza, podczas której staruszek przygląda mi się podejrzliwie, mimowolnie poruszając amuletem. Jego myśli gdzieś uciekają, rozbiegane oczy szukają ich przez dłuższą chwilę. Zdaje się, że przez te dziesięć dni postarzał się o dziesięć lat.

Wstaję powoli – Doktor umysłem jest wciąż gdzieś daleko. Siedzi obok, ale nie dostrzega mnie, chociaż jestem jego najdoskonalszym dziełem.

W głowie pojawia się Koralina. Ona, jej ciało, jej włosy, jej twarz... To już nie miłość, ale coś więcej. To moje ostatnie dobre wspomnienie.

Patrzę na Doktora, wiedząc że poniósł porażkę. Nie mnie potrzebował. Nie mnie szukał. Nie będę jego zbawicielem.

Za drzwiami słyszę głosy, poznaję je – ci dwaj

Czyściciele teraz pełnią rolę strażników. Dowcipkują i zaśmiewają się na zmianę. Nowe zadanie musi im sprawiać wiele radości.

Rozpędzam się i z całej siły wpadam na drzwi. Zamek pęka i otwierają się jak skrzydła szybującego ptaka. Uderzają w Czyścicieli, z głuchym hukiem miażdżą ich twarze. Mężczyźni padają na ziemię, a ja zeskakuję pomiędzy nich. Złamana noga nie utrzymuje ciężaru, potykam się, lecz prędko wstaję i uciekam.

Goni mnie wściekły wrzask. Nie odwracam się, nie muszę. Kuśtykam, ciągnę pogruchotaną kończynę za sobą, ale utrzymuję stałe tempo. Za mną łomot upadającego ciała, stukot gubionej laski. Doktor również nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Tym razem nie potrafię oprzeć się pokusie i spoglądam za siebie. Widzę starca gramolącego się na nogi, dzierżącego rewolwer. Potargane włosy i twarz wykrzywiona wściekłością przypominają pysk dzikiego zwierza. Ryczy. Wściekle. Nieludzko.

Powietrze obok mojej głowy drze na kawałki świst pędzącej kuli. Muszę się spieszyć.

On pędzi za mną, kuśtykamy obaj w tym pokracznym wyścigu. Ale Doktor ciężko sapie, ja nie oddycham. Nie męczę się.

Grzmot i świst kuli, która trafia mnie w plecy. Siła uderzenia jeszcze mocniej popycha do przodu i desperacko walczę, aby utrzymać równowagę. W efekcie przez chwilę poruszam się szybciej, a odległość pomiędzy

nami rośnie. Broń grzmi raz za razem. Tracę kawałek ucha, jednak to mnie nie powstrzymuje. Pomiedzy kolejnymi stuknięciami laski są coraz dłuższe odstępy. On nie może długo biec, kiedy ja mógłbym uciekać w nieskończoność.

Stukot zupełnie ustaje i wiem, że wygrałem, kiedy słyszę kolejny, ostatni huk broni. Pół świata ginie w mroku, jakby ktoś nałożył czarną płachtę na lewą połowę twarzy. Lepki płyn ścieka po policzku, dociera do ust pieszcząc wargi. Próbuję go niemal instynktownie. Nie ma smaku.

Doktor przewraca się wyczerpany, ciężko dysząc, a ja wracam tam, skąd mnie zabrali.

\* \* \*

Idziemy w rzędach po czterech, ramię w ramię. Tempo równamy do tych, którzy poruszają się najwolniej, więc marsz wydaje się trwać wieki. Podążamy szarym korytarzem, nad głowami mętnie świecą jarzeniówki, pod nogami ciągną się trzy kolorowe linie: żółta, zielona i czerwona. Mijamy drzwi, wiele podobnych drzwi. Korytarz ciągnie się bez końca.

Obok mnie zawsze kroczy nieumarły bez twarzy. Nie ma nosa, ust, zębów, jego czaszka została przecięta, jakby ktoś przepołowił arbuza. Część mózgu drga przy każdym kroku, grożąc wypadnięciem.

Codziennie stajemy przy taśmie produkcyjnej. Oszczędnymi, wymierzonymi ruchami przesuwając mechaniczne półprodukty służące do zbudowania czegoś.

Nie wiem czego. Nie wiem, po co. Pewnego razu zamiast kolejnej części taśmą przyjeżdża połówka mózgu mojego sąsiada. Spycham ją i tak.

Kiedy świeci czerwona lampa, kończymy zmianę i przychodzą nowi. Każda grupa ma swoich nadzorców, a ci muszą jeść, spać i odpoczywać. Być może my również niszczejemy szybciej, jeśli ciągle jesteśmy w ruchu? Nie wiem.

Po zakończeniu zmiany, wszyscy idziemy do Sypialni. Tak nazywają to miejsce. Jest nas tu bardzo wielu, wiele grup. Wszyscy stoimy ocierając się o siebie, niczym napakowane do puszki szproty. Zamykają drzwi, robi się ciemno. I stoimy. Kiedy ponownie robi się jasno, część z nas zostaje wyprowadzona i rozpoczyna się kolejna zmiana. Cierpliwie czekam na swoją kolej.

Pracuję.

Czekam.

Pracuję...

Aż pewnego razu wiem, że nadszedł czas powrotu do Doktora. Polecenie rozbłyскуje w mojej głowie jak światło morskiej latarni przedzierające się przez zasłonę mgły.

Po drodze do pracy musimy na chwilę opuścić korytarze, wyjść na zewnątrz. Mijamy otoczone płotem podwórze, idziemy szpalerem w kierunku baraków. Ja się odłączam. Maszerujący na czele pochodu człowiek nawet tego nie zauważa... a może go to nie obchodzi? Kolejny truposz, który nie nadaje się już do niczego. Niech lezie i



dogorywa, kogo to obchodzi? Niech kręci się po mieście, póki nie wpadnie pod koła, nie zgnije albo nie dorwą go Czyściciele z PCK. Szkoda zachodu, by za nim pędzić.

Skrećam, mijając pracowniczy pawilon, nierówny chodnik pod stopami zamienia się w żwir. Ten pozwala na znacznie pewniejszy marsz niż wykrzywione i połamane płyty. Naprzeciw mnie rozpościera się niewielka glorieta, połączona z resztą kanciap wychodzącymi z niej korytarzami. Nie wiedziałem, że jest ich tak wiele – moją codzienną drogę na zewnątrz stanowiło te dwadzieścia metrów chodnika, nic więcej. Teraz widzę, że kompleks jest gigantyczny. Przypomina pajęczynę pasaży splecionych w supłach blaszanych budowli. Ja jednak wiem, którądy iść, bo światło latarni wskazuje mi drogę. Bez trudu znajduję miejsce swoich ponownych narodzin.

Niezgrabnie łapię klamkę, kiedy słyszę głos. Niesiony wiatrem, pokonuje zgrzyt poruszanej bramy, góruje nad nim, dociera do mnie czysty. Budzi wspomnienia.

Jej blady profil miga w przejściu po drugiej stronie ulicy. Koralina śmiesznie wydłuża krok, starając się zdążyć na tramwaj. Zapominam o rozkazie i ruszam w stronę wyjścia.

Staję w bramie, pod zardzewiałym szyldem „Verigold”, wyciągam rękę, ale dziewczyna jest zbyt daleko, bym mógł ją złapać. Stoi na schodkach tramwaju.

Otwieram usta, ale słysząc tylko jęk.

Długo jeszcze tkwię wpatrzony w światła

odjeżdżającego pojazdu, wsłuchany w terkot szyn, aż wreszcie ruszam w drogę, idąc po szynach w stronę swojego dawnego domu.

## 8. Moja Koralina

Naciskam wszystkie klawisze domofonu, naraz odzywają się dziesiątki głosów zadających to samo pytanie – nie odpowiadam nikomu, a oni i tak nie chcą wiedzieć, kto idzie. Naprawdę nie, bo wnet rozlega się elektryczne bzyczenie i drzwi stają otworem.

Mozolnie wspinam się po piętach, ciągnąc złamaną nogę, nieprzydatną przy tego rodzaju wspinaczce. Dłonie ślizgają się po poręczach jakby były wilgotne od potu, ale to przecież niemożliwe. Moja skóra się nie poci.

Wreszcie jestem pod jej mieszkaniem, poznaję nazwisko wyryte w miedzianej tabliczce. Nie dzwonię, tylko naciskam kłamekę, a ta ustępuje.

– Kochanie? – słyszę dochodzące z kuchni pytanie.

– Tak – odpowiadam z trudem, zmuszając struny głosowe do wydobycia głosu.

Koralina wychodzi mi naprzeciw, jest ubrudzona mąką, w ręce trzyma wałek. Usta ma otwarte, wydobywa się z nich okrzyk przerażenia. Cofa się i potyka, a ja już jestem przy niej. Pewnie chwytam wąskie, blade dłonie, jestem tak blisko, że widzę tylko połowę jasnej twarzy. Jedno szeroko otwarte oko, w którego rogu łza odbija światło

lamp.

– To ja, Robert. Wróciłem po ciebie – chcę wytłumaczyć, ale myśli nie zamieniają się w słowa. Zdania są zbyt skomplikowane, wydobywam tylko pojedyncze głoski, resztę jak zwykle dławi jęk.

Koralina szarpie się, kopie, a ja nadal próbuję wyjaśnić.

Nie słyszę kroków mężczyzn na korytarzu. Nie czuję ostrych szpil przebijających plecy – zauważam je dopiero, kiedy wychodzą po stronie piersi i otwierają się jak kwiaty, wczepiając haczyki w moje ciało. Rzucam się w ostatniej, desperackiej próbie, ale harpuny są nieubłagane i ciągną mnie w tył.

Zadzieram głowę, nadal sunąc po dywanie, i widzę dwóch Czyścicieli. Już się znamy. Mają połamane nosy, zmiażdżone, ubrudzone zakrzepłą krwią usta, a jednak rozpoznaję ich z łatwością. Łańcuchy doczepione do wbitych we mnie harpunów powoli powracają do karabinów trzymany przez mężczyzn. Oczko za oczkiem nawijając się na doczepione do pasków szpule.

Wyciągają mnie na korytarz.

– Przepraszamy panią za kłopot. – Jeden uśmiecha się przepaszająco do Koraliny.

A potem oblewają mnie jakąś lepką cieczą i ten wygadany rzuca zapalną.

Płomienie rosną. Każde ich liźnięcie zabiera mi siłę, ale nadal nie ma bólu. Jedynie dziwny dreszcz w piersi, kiedy patrzę w przerażone oczy Koraliny, ale oprócz tego nic. Żadnego bólu.

Słyszę stukot laski i wściekłe wrzaski starca.

– Durnie! Coście zrobili!

Widzę Koralinę wstydliwie zakrywającą ślad po moim ugryzieniu.

Widzę płomienie strzelające pod sufit.

Widzę moją pierścienicę pękającą jak balon pod wpływem gorąca. Zupełnie o tobie zapomniałem. Gdzie się podziewałaś?